

ANNA GRABOWSKA  <https://orcid.org/0000-0003-2156-350X>

SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny, Wydział Psychologii w Warszawie
SWPS University of Social, Psychology and Humanities, Faculty of Psychology, Warsaw
e-mail: agrabowska@swps.edu.pl

GRAŻYNA JACKOWSKA

emerytowany psycholog – specjalność terapia przez twórczość
retired psychologist – specialist in art therapy
e-mail: grazynajackowska@wp.pl

Stefan Szuman we wspomnieniach rodzinnych: życie pełne pasji, poszukiwania prawdy i obcowania z pięknem

Stefan Szuman in Family Memories: A Life Full of Passions, The Search for Truth and Communing With Beauty

Abstract. The paper presents aspects of Stefan Szuman's activities and passions that influenced both his scientific interests and friendships. He was involved in various forms of fine arts: painting, wood carving, hand weaving, poetry writing and joint music making in small home bands. For both him and Zofia Szuman – his beloved wife – aesthetic impressions were extremely important for building up their lifestyle and creating relationships with others, including famous Polish painter – Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy), philosopher – Roman Ingarden and writer – Bruno Schulz. The paper references the old family correspondence which creates genuine and trustworthy foundation for the image of their lives.

Keywords: Roman Ingarden, Bruno Schulz, Witkacy, home music making, painting, hand weaving, old family correspondence

Słowa kluczowe: Roman Ingarden, Bruno Schulz, Witkacy, kameralne muzykowanie, malarstwo, tkactwo, stara rodzinna korespondencja

1. WPROWADZENIE

Dla każdego, kto miał okazję poznać Stefana Szumana, było oczywiste, że praca naukowa była esencją jego życia. Jak bogate były jego dzieła od strony tematyki i sposobu ujęcia zagadnień, nad którymi pracował, świadczą między innymi zebrane w niniejszym zeszycie „Psychologii Rozwojowej” artykuły poświęcone różnym obszarom jego twórczości naukowej. Jednak dla wszystkich, którzy znali

go bliżej, równie oczywiste było to, że w jego życiu, oprócz pracy naukowej, było jeszcze wiele innych pasji, takich jak: muzykowanie, malarstwo, tkactwo, poezja czy kontakt z przyrodą. Bez nich Stefan Szuman nie byłby sobą, innymi oczami patrzyłby na świat, nie dostrzegając i nie przeżywając w pełni jego bogactwa i piękna, zarówno w wymiarze materialnym, jak i duchowym. Jednak przede wszystkim ważni byli ludzie: rodzina, przyjaciele, a także osoby uczestniczące w jego aktywności naukowej; ci,

z którymi Stefan Szuman pracował na co dzień, oraz koledzy profesorowie, wybitni twórcy czy artyści. Poszukiwał z nimi kontaktu, by w ogniu dyskusji zbliżyć się do poznania prawdy czy choćby lepiej zrozumieć różne problemy natury filozoficznej czy psychologicznej, które go nurtowały. Nie sposób też nie wspomnieć od razu o Zofii Szumanowej, z domu Szczepanowskiej, towarzysze życia Stefana Szumana, i jej roli we wszystkich nurtach jego życia i poczynaniach. Dlatego też w niniejszym tekście będzie się ona pojawiać bardzo często nie tyle jako osoba towarzysząca, ile jako ktoś, bez kogo nie dało się żyć i być tym, kim był Stefan Szuman.

To „rodzinne opowiadanie” o Szumanach będzie się opierać w dużym stopniu na starych listach, dokumentach, zapiskach i pamiętniczkach¹, których fragmenty można znaleźć w książce Grażyny Czyżewiczowej (córci Zofii i Stefana Szumanów) *Czas przechowany w starych kufrach*, opublikowanej przez Libron (2021). Autorki niniejszego artykułu będą się też często odwoływać do tekstu tej książki, uzupełniając własne dziecięce wspomnienia fragmentami z niej zaczerpniętymi.

Należy jednocześnie zaznaczyć, że niniejszy tekst nie stanowi życiorysu Stefana Szumana. Jest on raczej próbą przywołania tej postaci w całym jej bogactwie i wymiarach, opartą na poszukiwaniu we własnej pamięci i wspomnieniach, listach i dokumentach tych wątków, które ukazują, jakim był Człowiekiem.

Skąd pochodzą wspomniane wyżej listy i dokumenty? Otóż stanowiły one zawartość starych kufrow, które przez około 150 lat towarzyszyły kolejnym pokoleniom dwóch rodów – Szumanów i Szczepanowskich (z których wywodzą się Zofia i Stefan Szumanowie), z roku na rok gromadzących coraz więcej listów, pamiętników i notatek pisanych w różnych czasach i przez różne osoby. Kufry zachowały się w mojej dziecięcej pamięci jako dziwne i tajemnicze, ale nigdy nie śmiałam do nich zaglądać czy nawet pytać o ich zawartość. Stały one w ciemnej niży – zakątku powojennego krakowskiego mieszkania Szumanów przy ul. Manifestu Lipcowego 13 (obecnie ul. Piłsudskiego), który z powodu panującego tam zimna praktycznie nie był używany. Potem były przechowywane u nas na stryszku w podwarszaw-

skim dworku w Bielinach², przewiezione podczas przeprowadzki dziadków do Warszawy. Dopiero wówczas ich zawartość zaczęła szczegółowo badać Grażyna Czyżewiczowa, którą bez reszty pochłonęło nie tylko poznawanie przeszłości w nich ukrytej, ale także opracowanie tych cennych dokumentów w formie książki, opatrzonej jednocześnie komentarzami identyfikującymi ludzi, czas i kontekst, tak by były dostępne dla kolejnych pokoleń. Tylko ona mogła jeszcze tego dokonać, za co pewnie wszyscy czytelnicy będą jej wdzięczni, bo w przeciwnym razie zgubiliby się w gąszczu postaci, zdarzeń i relacji rodzinno-przyjacielskich...

Gdy otrzymałyśmy wraz z siostrą (także psychologiem) zaproszenie do opowiedzenia o naszych dziadkach podczas sesji zorganizowanej w 50-lecie śmierci Stefana Szumana, obie pomyślałyśmy to samo: nie da się oddać atmosfery i sensu życia pokolenia naszych dziadków za pomocą naszych myśli i słów. Można to zrobić dobrze, jedynie przytaczając treści ich myśli i przeżyć wyrażone w starych listach oraz w komentarzach pisanych przez naszą mamę. I dlatego w naszym „opowiadaniu” znajduje się wiele cytatów³ odwołujących się do wyżej wspomnianej książki, a także zdjęcia i rysunki⁴ z tamtych czasów, pochodzące ze zbiorów rodzinnych.

Ze względu na ograniczenie objętości artykułu prezentujemy tylko kilka wątków życia S. i Z. Szumanów, w swoich wyborach kierując się przede wszystkim tym, co dla nich wydawało się najważniejsze. Z tego też powodu nasze opowiadanie będzie wymykało się chronologii zdarzeń, a nurty ich życia będą się w nim przeplatały.

2. WCZESNE WSPOMNIENIA – DZIADEK I WNUCZKA (PLUS FAJKA)

Moje najdawniejsze wspomnienia pochodzą pewnie jeszcze z wczesnych lat 50. ubiegłego wieku, gdy dziadkowie mieszkali już przy ul. Manifestu Lipcowego 13 na trzecim piętrze, a ja i mój brat Stefan mieliśmy zaledwie po kilka lat, zaś młodszej siostry Grażynki jeszcze nie było na świecie. Była to rozległa kamienica (istniejąca do dziś), gdzie oprócz mieszkania

dziadków mieściły się także pokoje zajmowane przez pracowników Katedry Psychologii Pedagogicznej, a później Instytutu Psychologii, oraz pomieszczenia dydaktyczne. Tam też znajdował się gabinet Stefana Szumana – wystarczyło zejść piętro niżej. Pewnie dlatego często chodziłam wyżłobionymi od wielokrotnego używania drewnianymi schodami. Może dlatego też tak dobrze pamiętam gabinet dziadka. Oczywiście wówczas nie miałam pojęcia, do czego służył ten pokój. Zagłębiałam się tam w jakiś nieznanym, nieco mrocznym świecie, zupełnie odmiennym od tego, jaki był w ich mieszkaniu, który jednak nie tylko mnie nie przstraszał, ale wręcz przeciwnie, wzbudzał moją ciekawość. Myślę, że czułam się tam bezpieczna, bo z reguły wędrowałam tam prowadzona za rękę przez dziadka, który nazywał mnie Hanisią. Co więcej, była tam wielka (przynajmniej w moich oczach) czarna szkolna tablica, na której malowałam kredą „głowonogi”. Zdjęcie, które dokumentowało te moje pierwsze artystyczne poczynania, niestety się nie zachowało, ale doskonale przetrwało w mojej pamięci. Panowała tam atmosfera, którą można by nazwać rodzinną – nikomu na przykład nie przeszkadzało, że małe dziecko płacze się po pomieszczeniach służbowych. Ten bliski związek miejsca pracy i mieszkania dziadków wyrażał się też w tym, że często w odwrotnym kierunku, to jest: z dołu do góry, wędrowali współpracownicy Stefana Szumana, by w mieszkaniu dziadków dyskutować nad jakimś tematem, nad którym aktualnie pracowali, a przy okazji wypić herbatę, chrupiąc herbatniczki przyniesione przez troskliwe uczennice.

Nierozzerwalnie z dziadkiem w moich wspomnieniach łączyła się fajka. Zapachem tytoniu fajkowego przesiąknięty był cały gabinet, który stanowił też miejsce zabaw. Polegały one na przykład na tym, że dziadek puszczał z fajki w górę kółka błękitnego dymu: im więcej ich było i im bardziej były one kształtne, tym bardziej byliśmy oboje zadowoleni („oboje” – z większym akcentem na dziadku, który mocno się „wciągał” w tę zabawę!). Z tamtego czasu pochodzi anegdota, przytoczona w książce G. Czyżewiczowej: „Woźny Zakładu, pan Andrzej Kaim, który siadywał w korytarzu na krzeselku, niedaleko gabinetu profesora, opo-

wiadał chętnie, jak to mój Tata, za zamkniętymi drzwiami, wystukuje fajkę do popielniczki – i myśląc całkiem o czymś innym – a słysząc jednak własne stukanie, mówi: proszę! Za chwilę sytuacja się powtarza, słowo «proszę» jest już jednak wyraźniej zaakcentowane. Za trzecim wystukiwaniem fajeczki zdenerwowany profesor wołał już podobno podniesionym głosem: No przecież mówiłem, że można wejść”. Tę zabawną historyjkę autorka puentuje: „*Se non e vero...*”³, ale chyba jednak to się mogło zdarzyć, bo nie raz widziałam zatopionego w swoich myślach dziadka z fajką w zębach, co najwyraźniej pomagało mu się skupić. Jak widać na zdjęciu (fot. 1), dziadek Szuman nie rozstawał się z fajką również podczas obserwacji zabaw dziecięcych, i to nawet wtedy, gdy obwieszony był sprzętem fotograficznym, za pomocą którego je fotografował. Przypuszczam jednak, że fajka wówczas nie była zapalona, ale trzymana w ustach stanowiła niezbędny, bo pomagający w skupieniu się, rekwizyt w jego pracy.

Skoro mowa o fajce, trudno powstrzymać się od przytoczenia wierszyka powstałego w czasie okupacji, którą moi dziadkowie wraz z dorastającą mamą Grażyną i wieloma osobami z rodziny i znajomych spędzali w gościnnym podkrakowskim dworze Goszyce. Nawiasem mówiąc, właścicielką Goszyc była ciocia Zosia Kernowa, matka Anny Gąsiorowskiej, przyszłej żony Jerzego Turowicza. Historia tego wierszyka jest dość zaskakująca. W relacji naszej mamy w okresie wojennym dziadek wygłaszał w pobliskiej Luborzycy cykl wykładów z historii sztuki, a także prelekcje na temat poezji. Patronował też wywiązującym się dyskusjom. Mama pisze o tym tak: „Tata udziela także lekcji polskiego dla młodzieży z Goszyc i Wilkowa. Ma swoje specyficzne metody. Gdy przechodzi do fraszek Kochanowskiego, zadaje uczniom – jako pracę domową – skomponowanie fraszek własnych. Plon jest wspaniały, a więc i metoda chyba także? Najlepsze fraszki pisze Julek Wolski. Oto fraszka *Na preceptora, wuja Stefana Szumana*:

Sama fajka bezmyślna
Myśl bez fai bezduszna
Lecz razem z fają złączona
Genialna, mądra i słuszna”³.

3. BABCIA ZOSIA I DZIADEK STEFAN – ZAWSZE RAZEM: WSPÓLNOTA DUCHA, PRZEŻYĆ I PRACY

W moich wczesnych wspomnieniach jest oczywiście i babcia Zosia. Dla porządku nadmienię, że dziadkowie poznali się w Szkole Sztuk Zdobniczych w Poznaniu, gdzie oboje studiowali. Połączyły ich więc zamiłowania estetyczne. Warto dodać, że studiowali dla przyjemności, a nie dla dyplomu, którego, z tego, co mi wiadomo, żadne z nich nie starało się nawet uzyskać. Oboje jednak wynieśli stamtąd umiejętności i wewnętrzną potrzebę aktywności twórczych, co wykorzystywali również w dalszych latach swojego życia.

Nie mogę sobie odmówić, by nie wspomnieć też o ślubie dziadków, który odbył się 100 lat temu, a dokładnie 3 października 1922 roku we Lwowie, gdzie mieszkała rodzina Szczepanowskich, choć ojciec babci Zosi, Stanisław Szczepanowski, oraz jej mama, Helena Szczepanowska z domu Wolska, już wówczas nie żyli (Zosia była najmłodsza spośród ich sześciorga dzieci). Ślubu udzielał w kościele św. Mikołaja ksiądz Henryk Szuman – rodzony brat Stefana, proboszcz z Nawry. Według rodzinnych relacji „ślub trwał trzy dni, a po oczepinach panna młoda tańczyła sama kozaka, taka wiotka i zgrabna”. Ich córka Grażyna po latach tak skomentowała to wydarzenie w swej książce (2021): „I tak wiek dwudziesty wypierał powoli szacowne dziewiętnaste stulecie. Bo proszę tylko zestawić oczepiny i kozaka, który przecież wykluczał długą suknię! Nie mówiąc już o niewieściej powadze oczepionej mężatki”. Tak więc, już na starcie swojego małżeństwa babcia ujawniła potrzebę własnego wyrażania uczuć i swobody bycia sobą, niepomna na zwyczaj czy konwenanse. I choć w książce znajdujemy wyznanie Grażyny (2021): „pozostała mi jedynie fotografia mojej Mamy w krótkiej sukni z długim szalem – trenem przerzuconym przez ramię, a także przeświadczenie, że wesele było wspaniałe” – nawet to jedyne zdjęcie się nie przechowało do naszych czasów.

Warto dodać, że dziadkowie po uroczystości ślubnej postanowili „pomyszkować” trochę

po sklepach ze starociami we Lwowie i przywieźli stamtąd różne piękne przedmioty, które są z nami do dziś. Dziadek miał dużą słabość do kupowania rzeczy pięknych! Ja sama uwielbiałam to „myszkowanie”, które uprawialiśmy razem w późniejszych latach w Krakowie. To, czy nabyte przedmioty się przydadzą, było sprawą zupełnie drugorzędną. Najważniejsze było obcowanie na co dzień z pięknem, którego źródłem były kupowane przedmioty.

Najczęściej o poranku odwiedzaliśmy targ kwiatowy. Szczególnie wypatrywaliśmy roślin polnych, na przykład kaczęńców, które babcia tak bardzo lubiła. Całe ich naręcza przynosiliśmy do domu. Babcia pieczołowicie układała kwiaty we flakonach, dobierając starannie ich koloryt i charakter, tak by tworzyły piękne kompozycje. Pamiętam, że flakony zwykle były gliniane, najwyraźniej zrobione w jakimś wiejskim garncarskim warsztaciku. Jeśli babcia czuła się na siłach, czasem wybieraliśmy się wspólnie także na dalsze spacer. Gdy byłam już nastolatką, nieodmiennie chodziłam z babcią pod ramię. Doznawałam wtedy uczucia, że babcia jest lekka jak piórko, i chyba było to bardzo bliskie prawdy. Do dziś, gdy o tym myślę, odczuwam niemal namacalnie tę jej kruchą obecność.

Pamiętam też, że babcia bardzo niewiele jadła. Kiedyś zaniepokojony tym dziadek zachęcał ją do jedzenia, a babcia na to: „przecież zjadłam jajecznicę z całego [!] jajka”. Dziadkowie chyba jedli bardzo skromnie, nie przywiązując do tego dużej wagi, co zgadza się z opinią wuja Bielskiego, który podobno twierdził, że „u Szumanów kuchnia jest szpitalno-barowa”. Jedyłą troską w tym względzie było zapewnienie babci odpowiedniej diety.

Późniejsze lata, naznaczone słabym zdrowiem babci i ciężkimi przeżyciami związanymi z utratą trzyletniego synka Krzysia (fot. 2) spowodowały, że babcia chorowała i już nie miała tej energii, która tak tryskała z niej w trakcie ślubu. Mimo to odnajdowała w tej nowej i niełatwej dla niej rzeczywistości swoje miejsce. Obraz babci z tego okresu przepięknie „maluje” mama, pisząc o tym tak: „Wśród wszystkich licznych gości, wśród całego rozgardiaszu naszego muzykowania, dyskusowania, malowania,

brydżowania – żyła sobie cichutko i nieśmiało moja Mama. Szczuplutka, bledziutka, ale zawsze pogodna i zawsze dla wszystkich równie serdeczna. I chociaż wydawać by się mogło, że na każdym kroku usuwa się jakby na bok i schodzi nam z drogi, było jednak oczywiste, że całe nasze życie nie tyle obraca się wokół niej – ile się do niej zwraca i odwołuje”. I dalej: „Czy siedziała w wygodnym fotelu wśród nas i naszych gości, czy też leżała w sąsiednim pokoju, czuło się zawsze jej obecność promieniującą dobrym uśmiechem”³. Właśnie ten promieniejący uśmiech, pozbawiony jednakże jakiegokolwiek sztuczności, do dziś widzę, gdy tylko o niej pomyślę. Zawsze odbierałam ją jako bardzo mi bliską osobę, o niezwyklej łagodności, której uśmiech sprawiał, że wszystko wokół wydawało się miłe, przyjemne i bezpieczne. I z mojej perspektywy takie było rzeczywiście, bo przebywanie z nią budowało we mnie wiarę, że świat jest piękny, a ludzie dobrzy.

Miałam też zawsze poczucie, że babcia unikała wszystkiego, co mogło innym sprawić przykrość. Czasem wynikały z tego dość zabawne sytuacje. Według opisu mamy kiedyś po przebytej operacji, gdy kryzys minął, zapytana przez ordynatora: „No i jak się pani profesorowa dzisiaj czuje?”, babcia odpowiedziała podobno: „Doskonale, panie doktorze, tylko jeszcze tego nie odczuwam”.

W jednym ze swoich listów siostra babci, ciocia Eleonora Plutyńska (artystka tkaczka), przytacza i komentuje słowa babci Zosi: „Musimy być bogaci duchowo, aby obdarzać”³. Otóż myślę, że babcia Zosia była osobą obdarzającą nie tylko dziadka, ale wszystkich, którzy się z nią stykali, swoim bogatym duchowo wnętrzem, akceptacją i po prostu dobrem.

Warto podkreślić, że babcia towarzyszyła dziadkowi w różnych jego aktywnościach. To bycie razem w mojej pamięci spajało ich w nierozzerwalną i oddaną sobie nawzajem parę. Dotyczyło to również pracy naukowej dziadka, który bardzo liczył się z jej opiniami i radami. Jednak czasem ogromne zaufanie, jakie dziadek miał do swojej żony, sprawiało, że na jej barki spadały sprawy, których się obawiała i które w jej mniemaniu przekraczały jej możliwości, na przykład w okresie wyjazdów dziadka za

granicę. Oto relacja G. Czyżewiczowej (2021) dotycząca jednego z pierwszych dłuższych wyjazdów naukowych dziadka do Genewy, jeszcze z czasów pierwszych lat ich małżeństwa, gdy dziadek niemal jednocześnie przygotowywał rozprawy doktorską i habilitacyjną: „Biedna Mama, Tata prosi ją w listach o załatwianie tytułu różnych spraw, Mama zaś oprócz dzieci i domu ma na głowie odbitki fotograficzne do drukujących się prac naukowych, różne przesyłki do Genewy, załatwianie korespondencji związanej z planowanym objęciem przez Tatę katedry w Wilnie lub w Krakowie, oraz, co najważniejsze, korektę pracy doktorskiej – do druku! – i to na własną odpowiedzialność. A przecież mama tak się bała każdej decyzji, tym bardziej na czyjś rachunek, a chodziło tu o sprawę jej ukochanego Stefanka!”.

Dodam, że wówczas babcia Zosia jeszcze była w dobrej formie, choć pewnie niemożliwej tańczenie kozaka. Relacja mamy pokazuje, że pomimo pozornej kruchości babcia Zosia była osobą zdolną do ogromnego wysiłku, by pomóc dziadkowi w realizacji jego zamierzeń i dążeń. W tej, zdawało się, słabej fizycznie i obdarzonej ogromną wrażliwością psychiczną osobie była więc wielka moc, którą uruchamiały jej miłość i oddanie sprawom ważnym dla jej męża.

Mam też przekonanie, że babcia była z reguły pierwszym recenzentem prac dziadka, co oznaczało, że przechodziły one przez jej ręce, które poprawiały nie tylko stylistykę, ale także i klarowność myśli. Dlatego dziadek tak odpowiada na jej wątpliwości w spóźnionym liście z Genewy: „Zostawiam Ci zatem zupełnie wolną rękę. Zrób, jak będziesz uważała”. Z listów dziadka wynika też, że on sam ciężko znosił rozstanie z żoną i pragnął jak najszybszego powrotu. Oto cytat z jego listu: „Jest mi niezmiernie tęskno do domu i mam już dosyć gór, Genewy, Szwajcarów, instytutów, i wolałbym dom, pracę i Ciebie”³.

Jak ważnym uczestnikiem twórczego procesu dziadka była nasza babcia, wyraża dedykacja w jednej z prac: „Najmilszej Zosi – wiernemu, pracowitemu, zdolnemu, zawsze pomocnemu współpracownikowi”³. Myślę, że babcia miała na bieżąco wgląd w to, nad czym właśnie pra-

cował dziadek. Symbolicznie ilustruje to piękna fotografia z babcią zaglądającą dziadkowi przez ramię (fot. 3).

Mama pisze takie słowa o tej wspólnocie życia naszych dziadków: „Tata żył swoją pracą nie mniej żarliwie niż tzw. życiem prywatnym. Oba te nurty płynęły jednym korytem i nie było między nimi wyraźnej granicy”³. A w obu zanurzona była całą sobą nasza babcia Zosia.

Natomiast z gotowaniem babcia była zawsze „na bakier”. W liście z roku 1954, po operacji, jaką przeszedł dziadek, babcia pisze: „Teraz staram się tatusiowi pomóc. I jak się gotowaniem denerwuję i czuję, że tego nie umiem, o tyle w pracy naukowej nie denerwuję się i czuję, że robię to dobrze”.

Babcia miała też własny niezależny świat i swoją wrażliwość. Czasem chciała pobycć w tym świecie całkiem sama i dzięki temu głębiej odczuć jego piękno. Jednak niemal natychmiast dzieliła się swoimi przeżyciami z dziadkiem, wysyłając do niego listy, takie jak ten: „Rano pojechałam sobie sama – strasznie lubię być sam na sam ze światem... lubię wracać do tych samych kwiatów, ludzi czy przedmiotów. Mówi się tyle o uroku nowości i o tym, jak ona działa na fantazyję. A na mnie tem silniej coś działa, im częściej do tego wracam i bliżej się z tym zapoznaję”³.

Dziadkowie Szumanowie mieli zwyczaj regularnego wieczornego czytania książek. Nasza mama pisała o tym tak: „Wieczorem, po jakiejś prostej kolacyjce, odbywało się rytualne wspólne głośne czytanie. Czytała na głos przeważnie Mamusia. Robiła to doskonale: jasno, wyraźnie, ze świetnym zrozumieniem rytmiki tekstu i z właściwą jej, nieco przesadną intonacją (...). Rodzice obcowali z książkami jak z dobrymi kompanami swoich wspólnych wieczorów: były one więc pozakreślane, popodkreślane, poznaczone krzyżykami i kółeczkami. Marginesy wypełniały się w miarę czytania całym tłumem uwag i notatek. Nie było to jednak wyrazem braku poszanowania dla książek. Wprost przeciwnie – żyły one w ów nietypowy sposób życiem pożytecznym i stawały się z czasem dla moich rodziców istotami naprawdę bliskimi”³.

4. PASJE ZWIĄZANE Z MUZYKĄ, TWÓRCZOŚCIĄ ARTYSTYCZNĄ I PRZYRODĄ

Muzyka zawsze była obecna w życiu zarówno Stefana, jak i Zofii oraz ich rodzin. Jedne z najlepiej utrwalonych w pamięci Stefana wspomnień z dzieciństwa wiązały się z... zakątkiem pod fortepianem, gdzie ukryty przed światem słuchał utworów, jakie grała jego mama Emilia, wkładając w grę całe swe emocje i uczucia. Według relacji dorosłego już Stefana przeżycia te należały do najpiękniejszych w jego życiu, a jego córka tak o tym pisze: „Stefanek siedział skulony pod skrzydłem instrumentu i chłonał piękno, które do końca pozostało nurtem najbardziej go poruszającym, wątkiem rozgałęzionym na wiele dziedzin życia i stanowiącym zarazem jego sedno”³. Wiadomo też, że Stefan jako chłopiec brał lekcje gry na skrzypcach i uczestniczył w różnych zespołach kameralnych organizowanych w toruńskich domach. Pewnie dzięki temu był w stanie w późniejszych latach realizować swoją wielką pasję, jaką było „muzykowanie”. Od wczesnego dzieciństwa także z zamiłowaniem malował.

Również jego przyszła żona Zofia wzrastała w rodzinie z tradycjami muzycznymi i artystycznymi, w kontakcie z malarstwem, huculskimi kilimami i wędrówkami po górach Czarnohory. Bratem jej dziadka był Stanisław Ignacy Szczepanowski – jeden z najznamienitszych gitarzystów w XIX-wiecznej Europie, z którym przyjaźnili się Adam Mickiewicz i Fryderyk Chopin. Jej siostra Flora Szczepanowska była pianistką i profesorem na Akademii Muzycznej w Poznaniu, a druga siostra Eleonora (później Plutyńska) – artystką tkaczką i również profesorem w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Nie może więc dziwić, że życie Stefana i Zofii Szumanów od samego początku ich znajomości naznaczone było zamiłowaniem do sztuki. Nie jest też przypadkiem, że spotkali się w Szkole Sztuk Zdobniczych w Poznaniu, gdzie w wieku już całkiem dojrzałym (każde z nich przekroczyło trzydziestkę) próbowali realizować swoje artystyczne potrzeby. Warto tu dodać, że Stefan Szuman, po zakończeniu I wojny światowej, podczas której był wcielony

do wojska niemieckiego jako lekarz, porzucił plany objęcia po ojcu prywatnej kliniki chirurgicznej, pomimo iż ta droga dawała mu perspektywę dobrego i w miarę dostatniego funkcjonowania. Zerwał więc z medycyną i poszedł własną drogą, która prowadziła go ku sztukom plastycznym oraz filozofii, a potem psychologii. Wkrótce jednak Stefan doszedł do wniosku, że nie ma dość talentu, by zostać artystą, i przerwał studia plastyczne, jednak kontynuował studia filozoficzno-psychologiczne.

Być może, na tej decyzji zaważyły też inne wydarzenia, związane z jego głębokim uczuciem, odwzajemnionym przez Zosię Szczepanowską, i w efekcie zaręczyny, a następnie ślub i urodzenie córki Grażyny, a potem syna Krzysia. Jednak pomimo zaangażowania w sprawy rodzinne Stefan Szuman jeszcze przez kolejne lata kontynuował prace tkackie, drzeworytnicze (fot. 4) i rysunkowe (fot. 5), które pociągały go od samego początku studiów plastycznych.

Jak pisze Grażyna Czyżewiczowa (2021), „z listów wynika, że już w czasie wojny, w roku 1916, przesyłał Stefan do Torunia jakieś tkaninki z frontu wschodniego (...), a w latach dwudziestych tkal (...) na domowym warsztacie niewielkie kilimy i w ten sposób zdobywał własne doświadczenie”.

Zainteresowanie tkactwem, nie tylko w sensie własnej aktywności twórczej, ale także poznania istniejących kolekcji w Europie Wschodniej, rozwija się u Szumana tak silnie, że postanawia przygotować i wydać książkę o kilimach słowiańskich. Ma jednak świadomość, że przedtem musi je obejrzeć na własne oczy, bo tylko w taki sposób można w pełni docenić ich kolorystykę, poczuć ich piękno, zrozumieć technikę tkania, a na dodatek zebrać dokumentację w postaci zdjęć. Ten zamiar realizuje wkrótce i w sierpniu 1924 roku wyjeżdża w podróż „w sprawie kilimów”. Już wcześniej oglądał cenną kolekcję kilimów u swojego stryja, prawnika Jana Szumana. Teraz, wyposażony w odpowiednie polecenia z Muzeum Poznańskiego, jedzie do Krakowa i do Lwowa, gdzie ma nadzieję nie tylko na zobaczenie kolekcji muzealnych i zbiorów prywatnych, ale także na kontakt ze znanymi historykami sztuki, między innymi z profesorem Julianem Pagaczewskim.

Zamysł okazał się bardzo udany. Szuman ma dostęp do pięknych tkanin z kolekcji Jasińskiego, Czartoryskich, Święcickiego i, co ważne dla niego, odbywa profesjonalne rozmowy ze znawcami tkanin wschodnich, wiele się uczy, ale też ma swoje ciche satysfakcje, między innymi dowodząc w dyskusji z Pagaczewskim trafności swoich spostrzeżeń dotyczących spłotów używanych w kilimach. Plon jest tak obfity zdjęciowo, że Szuman wyraża obawy, czy starczy mu pieniędzy na całą podróż oraz czy po prostu zdąży sfotografować to, co by chciał. Znamienne jest, że w tej sytuacji jego myśli biegną ku Zosi: „och, gdybyś tak Zoś ze mną była; co za miła [byłaby] praca we dwójkę!”. A w następnym liście kontynuuje: „pojeździemy na przyszły rok razem, dobrze?”³.

Rzeczywiście, już wkrótce, bo we wrześniu 1925 roku, udaje się tę ideę zrealizować. Dla babci, która dzieciństwo spędziła we Lwowie w domu, w którym były „tkaniny z huculskich jarmarków”, i która z całą pewnością nosiła w sercu lwowskie klimaty, ta podróż musiała być wyjątkowa. Również dlatego, że nieczęsto (jeśli w ogóle) zdarzało się, by w tym wczesnym okresie jej małżeństwa wyjeżdżała gdzieś z mężem, zwłaszcza w sprawach związanych z jego pracą.

Podróż na Huculszczyznę, podczas której Szuman kontynuował swoją pracę dokumentacyjną do planowanej książki, dziadkowie będą wspominać z sentymentem przez całe życie. Pewnie także dlatego, że tu podobno poczęło się życie Krzysia, ich wymarzonego i gorąco oczekiwanego synka.

Zebrana dokumentacja wymagała jeszcze wiele pracy. Ostatecznie książka Szumana *Dawne kilimy w Polsce i na Ukrainie* ukazała się drukiem pod koniec 1928 roku (fot. 6). W pracach nad ukończeniem książki wspomagała go Eleonora Plutyńska (siostra Zofii), wykorzystując swoje dotychczasowe doświadczenie i wiedzę. Jak donosi G. Czyżewiczowa (2021): „Wydawnictwo Fiszer i Majewski dołożyło wszelkich starań: piękny papier, doskonała czcionka, blisko 70 tablic, w tym sporo kolorowych, bardzo dobrych. Na karcie tytułowej dedykacja: Zosiencie pierwszy egzemplarz, 24 XII 28. Stefan”. Warto zauważyć, że niemal równolegle

z dziełem dotyczącym tkactwa Szuman przygotowywał pracę doktorską *Sztuka dziecka – psychologia twórczości rysunkowej dziecka*. Promocję doktorską otrzymał 6 marca 1926 roku, a w następnym roku zrobił habilitację, i to wszystko mając pod opieką rodzinę, składającą się już z czterech osób!

Zamykając rozdział związany z szumanowskim oczarowaniem kilimami, trzeba dodać za Grażyną Czyżewiczową (2021): „Wątki zainteresowań [Stefana Szumana] przeplatały się z biegiem lat i coraz to inne pasje brały w życie górę (...). Po przeniesieniu się do Krakowa Ojciec mój zarzucił chyba całkowicie prace graficzne i rysunki, a także tkactwo, czym zajmował się z takim zaangażowaniem w okresie poznańskim”.

Powróćmy więc w świat muzyki, gdyż Stefan Szuman nade wszystko zawsze kochał muzykę, i to nie tylko taką „do słuchania”, lecz również tę, która wyrasta z potrzeby wspólnego muzykowania. To wspólne muzykowanie zaczęło się dość przypadkowo, a w każdym razie nie było z góry zaplanowanym działaniem. Pod koniec lat 20. siostra Zofii, Eleonora Plutyńska, wraz ze swym mężem Antonim Plutyńskim przenoszą się z Warszawy do Konstancina, by zamieszkać w willi Rusalka. Począwszy od 1932 roku zjeżdżają do Konstancina na wakacje także Szumanowie i zamieszkują w niewielkim parterowym domu, do którego wchodzi się przez niewielki ganeczek. Podkreślam to, gdyż zgodnie ze wspomnieniami Grażyny Czyżewiczowej (2021): „na tym ganeczku właśnie zaczęło się nasze muzykowanie. Mogę śmiało powiedzieć «nasze», gdyż brałam w nim od początku udział – w roli pulpitu do nut! Miałam wtedy około ośmiu lat”.

Częstym gościem Plutyńskich był ich przyjaciel – Leon Maciański, zwany w rodzinie Maćkiem. To on przekonał Stefana Szumana, by powrócił do swoich skrzypiec – i tak się zaczęło... A ściślej od koncertu Bacha d-moll na dwoje skrzypiec granego przez Maćka i Stefana. Jak komentuje nasza mama: „towarzyszącą orkiestrę stanowiły chyba jedynie miejscowe ptaszki na gałęziach drzew”³³. Ponieważ to pierwsze „granie” wyniknęło niespodziewanie, z wewnętrznego impulsu, mała Grażynka Szumanówna wraz

córką sąsiadów, wezwane na pomoc, trzymały otwarte nuty przed oczyma skrzypków.

Ciocia Leonka nie była muzykiem, jednak grywała trochę na wiolonczeli. Natomiast Maciek był znacznie lepiej przygotowany do grania w zespole i to on stał się *spiritus movens* tworzenia *ad hoc* tria lub czasem kwartetu, występująca w nim w roli dyrygenta i pierwszego skrzypka. W zespole uczestniczyła także ze swoją altówką Zofia Baudouin de Courtenay, przyjaciółka cioci Leonki z lat studiów plastycznych w Warszawie, słynna ze wspaniałych witraży. Stefan Szuman (drugie skrzypce) dołączał także jako czwarty do kwartetu. Maciek był bardzo wymagający: członkowie zespołu wielokrotnie powtarzali poszczególne frazy, dopóki nie zadowolili swojego dyrygenta, ale też i samych siebie... Ciekawe, że nie ograniczali się tylko do muzyki instrumentalnej, lecz w repertuarze konstancińskim mieli także chorały śpiewane na cztery głosy.

Raz rozpoczęte muzykowanie domagało się kontynuacji również poza Konstancinem, gdy Szumanowie wrócili do krakowskiego mieszkania przy Alei Słowackiego. Tu, już zimą 1933 roku, rozpoczęły się pierwsze próby muzyczne, ale już w innym i nieco bardziej profesjonalnym składzie. Jednak podobnie jak w konstancińskich spotkaniach „najistotniejsze było to, że grało się dla własnej przyjemności i radości, dla bliższego zapoznania się i zaprzyjaźnienia z utworem – a więc broń Boże pod kątem wykonania popisowych! Grano z przerwami, powtórzeniami, dyskutowano nad interpretacją poszczególnych fragmentów”³³. Cały urok tej wspólnej pracy nad utworem polegał nie tyle na idealnym jego wykonaniu, ile na smakowaniu, i to niekoniecznie finalnego efektu, co raczej drogi dochodzenia do niego. To, że uczestniczyli w tym procesie wszyscy i dzielili się nim wzajemnie i grający, i słuchający, dodawało jeszcze smaku całemu przedsięwzięciu.

Kameralne muzyczne spotkania, zwane przez profesorów-sąsiadów Szumaniadami, odbywały się regularnie co tydzień i uczestniczyli w nich także przyjaciele. Obowiązywały bezwzględna cisza i pełne skupienie, a zwyczajnie te respektowano bez wyjątku. W takiej to muzycznej atmosferze wzrastała mała córeczka Szumanów, Grażynka. Pozwalano jej uczestniczyć w tych

spotkaniach do późnych godzin nocnych mimo czekających ją od rana obowiązków szkolnych. Wspominała o tym później z ogromną wdzięcznością, bo jak napisała: „nic nie zastąpi takich dziecięcych przeżyć”³. Grażynka miała wówczas osiem lub dziewięć lat. Słuchała, zadowolona w miękkim popielato-błękitnym fotelu, odbywając „najwspanialsze podróże w krainę muzyki”³. Mama wielokrotnie później wracała do tych wspomnień, które były nie tylko śladami pamięciowymi, ale i przeżyciami, na których budowała się cała jej późniejsza wrażliwość estetyczna, a w szczególności muzyczna.

Taką głęboką wrażliwością cechowali się też zarówno Zofia, jak i Stefan Szumanowie, którzy doświadczając szczególnie mocnych przeżyć estetycznych, czy to związanych z muzyką, czy piękną przyrodą, zawsze odczuwali potrzebę wzajemnego dzielenia się nimi. W tym kontekście przytaczamy fragment listu babci Zosi do Stefana, napisanego po powrocie z koncertu beethovenowskiego:

„W poniedziałek wieczór byłam na koncercie (...). Żałuję bardzo a bardzo, że Ciebie nie było. Jeden z takich koncertów, jakie latami potem pamiętam. Z początku to mi się tak ot podobało (...) dopiero ostatnia część pierwszego koncertu wzięła mię – a potem już byłam wzięta do końca. Pamiętam wszyściutko, co się tam w tej muzyce działo i co się we mnie działo, wszystko, co się we mnie formowało od razu w swoiste całości – i tego już nie zabudu! Myślałam sobie, jak używanie artystyczne nie ma nic wspólnego z bez troską rozkoszą, zdawało mi się, że muzyka jest jak garncaz, który glinę duszy bierze pod swoje koło, zmusza ją do przybierania coraz to innych kształtów, a dusza, wykwitając formą talerza czy wazy (...), czuje radość i ból każdej powstającej formy. Garncaz pójdzie, a skarby swoje konkretne, uformowane zostawia mi w duszy”³.

Takie piękne listowne „raporty” z własnych przeżyć wędrowały pomiędzy Stefanem i Zosią wielokrotnie. Dodam, że pokazywały one nie tylko, że dla obojga przeżywanie piękna stanowiło ogromną wartość oraz że wspólnota przeżywania była im niezbędnie potrzebna do szczęścia, ale także że umieli też pięknie i mądrze o tym pisać. Jak pokazuje przytoczony

fragment listu, szczególnie zdolności literackie miała babcia, ale jej życie, wypełnione oddaniem dzieciom i mężowi, nigdy nie pozwoliło rozkwitnąć tym zdolnościom w pełni i zaangażować się w tworzenie dzieł literackich.

Skoro mowa o zdolnościach literackich, to nie sposób nie wspomnieć, że prócz okolicznościowych wierszyków pisanych dla zabawy i ku uciesze odbiorców Stefan Szuman, pod pseudonimem „Łukasz Flis”, opublikował w 1933 roku tomik wierszy pod tytułem *Drzwi uchylone*. W pierwszym z otrzymanych egzemplarzy zamieścił dedykację dla żony: „Najdroższemu Jasiowi tę swoją najlepszą cząstkę oddaję. Stefan 3 VII 33”³. Trzeba tu wyjaśnić, że babcia Zosia była w domu rodzinnym nazywana Jasiem. Część z tych wierszy napisał po utracie ukochanego synka Krzysia, który zmarł na cukrzycę, mając zaledwie trzy latka.

Na koniec tej całej listy pasji i zamiłowań Stefana Szumana i jego żony muszę choć wspomnieć o jeszcze jednej, a mianowicie o wycieczkach w Tatry. Począwszy od roku 1923, gdy Szuman po raz pierwszy tam dotarł i był pod ogromnym wrażeniem ich piękna, w Tatry Szumanowie jeździli wielokrotnie (czasem po drodze „zahaczając” o Pieniny). Te górskie wypady stały się źródłem silnych wzruszeń i pozostały w pamięci Grażynki Szumanówny przez całe życie: „do dziś widzę nieskoszone jeszcze łąki, czuję zapach kwiatów w letnim upale i smak zimnego kwaśnego mleka gdzieś po drodze”³. A Stefan Szuman wyrażał to krócej: „zaczarowany kraj”³.

Babcia Zosia tylko początkowo i sporadycznie towarzyszyła dziadkowi w wycieczkach. Na wycieczki wysokogórskie Stefan Szuman chodził najczęściej z Grażynką. Górskie wędrowki ojca i córki były dla obojga tak głęboko poruszające, że szli zazwyczaj w milczeniu, chłonąc otaczający ich świat. Babcia czekała jednak na ich powrót w góralskiej chacie. Grażyna Czyżewiczowa (2021) wspomina: „Chodziliśmy z Ojcem najczęściej we dwoje. Właśnie we dwoje – a nie tylko Ojciec ze mną. Myślę, że wobec tego, że Mamusia nie mogła mu towarzyszyć, byłam Tacie na tych wspólnych wycieczkach tak samo niezbędna jak on mnie. I tak u końca każdej wycieczki, krótkiej czy wielodniowej, czekała

na nas lampka w Mamy pokoju. Chcę przez to powiedzieć, że gdy wchodziło się do domu (...), od razu poprzez sionkę szło się do pokoju Mamusi, jeszcze w butach – a może nawet z plecakami? Bo nieśliśmy jej to wszystko, cośmy widzieli i przeżyli – całe długie opowiadania. I wtedy dopiero przeżycia nasze dopełniały się i dojrzały ostatecznie. W ten sposób Mama towarzyszyła nam wiernie i z wielkim zaangażowaniem we wszystkich naszych wycieczkach”.

Pobyty w Tatrach zajmowały im czasem całe wakacje. Najczęściej jeździli do Kościeliska. Wówczas wyjeżdżała po nich aż do Zakopanego drewniana „furka”, którą powoził zaprzyjaźniony gazda, Ludwik Krzeptowski z Rysulówki, i przewoził cały kram potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy, wśród których były także ulubione tkaninki i obrazki. Jak wynika z zachowanych fotografii (fot. 7), Stefan Szuman zabierał ze sobą na wakacje również i skrzypce, na których grywał, siedząc na krześle mocno osadzonym na pobliskim... stoku górskim.

5. ZAWODOWO-PRZYJACIELSKIE KONEKSJE SZUMANÓW

Dom Szumanów był zawsze otwarty na oczekiwanych i nieoczekiwanych gości. Byli to zarówno różni krewni i znajomi, jak i osoby z grona profesorskiego, które ze Stefanem Szumanem łączyły zainteresowania naukowe oraz pasje poznawcze i artystyczne. Jak relacjonuje mama: „nasze kontakty towarzyskie były liczne i ożywione – ale raczej nietypowe. Bowiem w Krakowie na Słowackiego (jak również później na Manifestu Lipcowego) zasadniczo nie «przyjmowało się» w formalnym tego słowa znaczeniu. Raczej obcowało się serdecznie i interesująco z ludźmi bliżej zaprzyjaźnionymi”²³. Z tego też powodu zapewne niektóre, początkowo czysto formalne, znajomości, jak na przykład z profesorem Ingardenem, zamieniały się w długotrwałe przyjaźnie, łączące nie tylko panów profesorów, ale również panie profesorowe. W mieszkaniu Szumanów przy Słowackiego 15 odbywały się na przykład seminaria na temat „Treść i forma dzieła sztuki”, zainicjowane przez Ingardena, Tatarkiewicza i Szumana.

Na Manifestu Lipcowego zaś, dzięki bliskości mieszkania Szumanów i pomieszczeń służbowych, ten brak granic pomiędzy tym, gdzie się mieszkało, i tym, gdzie pracowało, był jeszcze wyraźniejszy. Oczywiście takie swobodne przenikanie się domowego i zawodowego świata sprzyjało tworzeniu bardzo serdecznych związków.

Wracając do profesora Ingardena, warto wspomnieć, że takie przenikanie się poważnych zawodowych dyskusji ze sprawami codziennego życia było chyba najbardziej widoczne w listach, jakie Szuman i Ingarden wymieniali w dramatycznym okresie II wojny światowej. Profesor Ingarden mieszkał wówczas we Lwowie w bardzo trudnych warunkach. Jak wynika z zachowanej korespondencji (Spuścizna Stefana Szumana, Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie), Szuman wspomagał go wysyłanymi regularnie paczkami żywnościowymi zdobytymi u znajomych i krewnych z podkrakowskich dworów. Sądząc z listów, realnie pomagały one przetrwać Ingardenowi ten trudny czas i był za nie ogromnie wdzięczny. Jednak panowie nie byliby sobą, gdyby w treść listów traktujących o serkach, kaszy czy miodzie nie wkomponowali wywodów teoretycznych na temat istoty twórczości, czym w tamtym czasie obaj się interesowali, ale mieli dość odmienne zdania w wielu kwestiach.

Grażyna Czyżewiczowa (2021) komentuje to tak: „Epistolarna dyskusja obu profesorów z okresu okupacji hitlerowskiej to swego rodzaju przyjacieliski spór o «imponderabilia» między filozofem-teoretykiem, jakim był Ingarden, a artystą-eseistą Szumanem”. To pokazuje, jak rozwiązywanie teoretycznych dylematów głęboko zajmowało ich myśli, co być może pozwalało im przetrwać ten trudny czas.

Nawiasem mówiąc, kilka lat temu dotarłam do oryginałów listów Romana Ingardena pisanych ze Lwowa do Stefana Szumana (Biblioteka Jagiellońska), więc miałam okazję się im przyjrzeć. Pisany na maszynie na cienkim, „przebitkowym” papierze tekst uzupełniono mnóstwem ręcznych „dopisków”, co jeszcze bardziej potęguje wrażenie nie tylko myślowego, ale i fizycznego przeplatania się na papierze spraw przyziemnych z dysputą filozoficzną. Do

historii relacji Szuman–Ingarden odnosi się szerzej tekst profesora Leszka Sosnowskiego (2023) opublikowany w niniejszym zeszycie „Psychologii Rozwojowej”.

Do osób, które w latach 30. były częstymi gośćmi Szumanów, należał również Stanisław Ignacy Witkiewicz. Szuman i Witkacy poznali się najprawdopodobniej w Zakopanem u profesora Kotarbińskiego w kwietniu 1929 roku. Z tamtego czasu pochodzi cytowana przez G. Czyżewiczową (2021) anegdota, jakoby „Kotarbiński dostał zbyt dużą dawkę meskaliny i (podczas spaceru) w każdym sęku widział demona...”.

Szuman, nie zgadzając się z Witkacym w wielu kwestiach, pozostawał pod jego urokiem i wysoko cenił nie tylko jego twórczość, ale także jego samego jako człowieka. Pisał o nim tak: „Witkacy to jeden z najciekawszych talentów i jeden z najniezwykłych ludzi, jakich Polska wydała. (...) był jednym z najprzenikliwszych umysłów swoich czasów (...). Jego życie było nieustanną, świadomą walką ze złudzeniami, którymi każdy człowiek pociesza i równocześnie oszukuje samego siebie i innych ludzi: «z wygody», «dla świętego spokoju», ze strachu, z głupoty, z krótkowzroczności, ze słabości – lękającej się odkryć, ujrzeć i poznać «całą prawdę» (...). Kochał ironię i lubił o każdej rzeczy rozmawiać ironicznie (...). Był i jest – jako twórca i artysta – jednym z najmniejbezpiecznych wrogów kłamliwych złudzeń i łatwych pozorów (...). Szukał twardego gruntu pod nogami, a dokopywał się go na próżno we współczesnej mu rzeczywistości” (Spuścizna Stefana Szumana).

Przedstawiam tak szeroko cytaty z tekstów Szumana, by pokazać, że jego przyjaźń z Witkacym nie była powierzchowna, lecz opierała się na solidnych podstawach dążenia do prawdy, jakichkolwiek spraw by ta prawda nie dotyczyła. Co więcej, Szuman-psycholog trafnie odsłaniał psychologiczne mechanizmy, jakie mamy w sobie, które sprzyjają powstawaniu deformacji w widzeniu prawdy o sobie i otaczającym nas świecie.

Wracając do historii przyjaźni z Witkacym, Szuman nie tylko z nim współpracował, prowadząc obserwacje dotyczące wpływu różnych

substancji odurzających na psychikę człowieka, ale otworzył Witkacemu dostęp do własnego mieszkania w eleganckiej kamienicy zwanej trumną profesorską przy ul. Slowackiego w Krakowie, którą zamieszkiwali wybitni profesorowie UJ. Podkreślam to, gdyż, jak wiadomo, Witkacy był postacią mocno ekscentryczną, co skutkowało różnymi kłopotliwymi dla Szumanów sytuacjami, z którymi musieli się mierzyć. Na przykład Witkacy podczas swoich pobytów u Szumanów „rezydował” często w ich salonie urządzonym „eleganckim garniturem starych biedermaierowskich mebli pamiętających czasy pradziadków i rozstawiał tam swoją „wizytową wannę, czyli wielką składaną miednicę, z którą zawsze się woził”³. Nie dość na tym, ulubionym miejscem Witkacego była także łazienka, w której spędzał „całe godziny, pluszcząc się w wodzie i wyśpiewując na przemian to sopranem, to basem w wielu różnych językach i tonacjach”, co skutkowało interwencją szacownych sąsiadów proszących o ściszenie „zbyt głośno nastawionego radia”³. Ale, jak pisze Grażyna Czyżewiczowa (2021), „ściszyć Witkacego nie było łatwo. Tata mój miał z tym setne kłopoty”. Najwyraźniej zakotwiczenie Witkacego w mieszkaniu Szumanów i ich przyjaźń musiały być jednak na tyle silne, że „towarzyskie wpadki” nie były w stanie ich skruszyć. Warto dodać, że choć Witkacy był z dziadkiem Szumanem na „ty”, z babcią nigdy na tę formę nie przeszedł, a nasza mama (wówczas mała dziewczynka) wyznaje, że Witkiewicza wyraźnie nie lubiła. Pisała, że „nie mieścił się on po prostu w Jej dzieciennym świecie”³.

Jak wiadomo, Witkacy zażywał różne substancje, w tym narkotyczne, by dostarczyć sobie bodźców do dostrzegania i kreowania portretowanych postaci w sposób zniekształcony, który miał oddawać inne, nieujawniane na co dzień, tkwiące w nich cechy i emocje. Również w mieszkaniu Szumanów odbywały się seanse meskalinowe z inspiracji Witkacego i z jego udziałem. Podobno „babcia Zosia chowała wówczas na wszelki wypadek rewolwer, który leżał sobie spokojnie w szufladzie jednej z dwóch starych komód stojących w pokoju muzycznym”. W maju 1930 roku, podczas jednej z pierw-

szych wizyt u Szumanów, Witkacy ofiarował im niedawno wydaną książkę *Nienasyce* z następującą dedykacją: „Państwu ZofioStefanostwu Szumanom, wbrew woli (autora) za Ich własne pieniądze (tj. Obdarowanych) ofiarowuje Witkacy”³.

Wizyty Witkacego stawały się coraz częstsze i dłuższe i jak pisze Grażyna Czyżewiczowa (2021): „dom nasz był całkowicie podporządkowany jego obecności. Witkacy wpadał na przykład nagle do pokoju muzycznego, który bywał na przemian także gabinetem brydżowym, stawał w drzwiach, upatrywał ofiarę do portretowania i jeśli był to nawet czwarty przy zielonym stoliku (i nie było piątego na zastępstwo), ciągnął gościa do swego salonu, sadzał go we właściwej pozycji – i niechby ten facet śmiał drgnąć”.

Wprawdzie większość portretów przedstawiała karykaturalnie zmienione postacie, wyrażające najczęściej negatywne emocje, w przypadku babci Zosi Witkacy chyba hamował swoją wyobraźnię. Tak przynajmniej sugerują niektóre z zachowanych portretów babci Zosi (fot. 8).

Ponieważ Witkacy bywał u Szumanów często i malował dużo, „portrety coraz ciaśniej pokrywały ściany gabinetu Stefana Szumana. Z tego względu pokój ten przyjął nazwę „Witkacjum”³. Jak wspomina nasza mama, Grażyna Czyżewiczowa (2021), Witkiewicz „oświadczył kiedyś, że po jego śmierci pokój powinien zostać przemianowany na Witkaceum, czyli mauzoleum Witkacego. Potraktowaliśmy to jako dobry żart Stanisława Ignacego, nieświadomi tego, jak niewiele lat dzieli nas od września 1939” (czyli kresu życia Witkacego, który popełnił samobójstwo).

Tyle o Witkacym, który jak widać, był nie tylko postacią bardzo mocno związaną z Szumanami, ale wkraczając w ich życie, odmieniał je i wprowadzał do niego nowe wątki.

Ciekawa jest też historia znajomości Szumana z Brunonem Schulzem. Stefan Szuman poznał go w lipcu 1932 roku w Żywcu, gdzie prowadził jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego kurs wakacyjny dla nauczycieli. W kursie tym uczestniczył Bruno Schulz – wówczas skromny nauczyciel z Drohobycza, zupełnie jeszcze nieznanymi w środowisku literackim.

Schulz najwyraźniej był pod wrażeniem wykładu i osoby profesora Szumana, skoro zwrócił się do niego z prośbą o opinię dotyczącą tomu prozy, którego był autorem, opatrzonego wówczas tytułem *Wspomnienia o ojcu*.

Wiele lat później Stefan Szuman tak opisywał to spotkanie w swoim liście do Jerzego Ficowskiego z dnia 25 stycznia 1968 roku: „Pamiętam, jak któregoś wieczoru podszedł do mnie do stolika w hotelu, gdzie wypoczywałem sobie samotnie. Oświadczył, że moje wykłady przekonały go do mojej osoby i że to jest motywem jego prośby, abym przeczytał maszynopis jego powieści. Schulz wydał mi się od razu i sympatyczny, i jakoś b. ciekawy. Oświadczyłem jednak, że zwykle rzeczy, jakie mi dawano do przeczytania, nie były ciekawe i że zapewne zawiedzie się on w swoim zaufaniu do mnie. Zabrałem jednak maszynopis do mojego pokoju w hotelu i przeczytałem go w kilka godzin, w nocy. Byłem olśniony i (...) przekonany o wielkiej wartości tego, co czytałem”³.

Szuman zaproponował pomoc w opublikowaniu książki, a także zasugerował zmianę tytułu na *Sklepy cynamonowe* (stanowiące pierwotnie tytuł jednego z rozdziałów).

Zachował się rękopis obszernego listu, w którym Bruno Schulz dziękuje Stefanowi Szumanowi za pomoc w wydrukowaniu *Sklepów cynamonowych*, a jednocześnie wypowiada się na temat wierszy Stefana Szumana, które od niego otrzymał. Warto tu jednak podkreślić, że wprawdzie Stefan Szuman był prawdopodobnie pierwszą osobą, której Schulz powierzył do oceny swe dzieło i która dostrzegła jego niezwykły talent pisarski, lecz nie jedyną i nie najważniejszą w staraniach, które doprowadziły ostatecznie do wydrukowania jego dzieła oraz, w dalszej perspektywie, sukcesu literackiego Schulza. Do takich osób niewątpliwie należeli między innymi Zofia Nałkowska oraz Tadeusz Breza.

O ile mi wiadomo, Schulz i Szuman spotykali się jeszcze kilkakrotnie w Krakowie. Pomimo wzajemnego podziwu i spotkań ich relacje nie przerodziły się jednak w przyjacielską zażyłość, jak to miało miejsce w przypadku Ingardena oraz Witkacego. Co ciekawe, niezależnie od znajomości z Szumanem Schulz nawiązał znajomość także z Witkacym oraz z Ingarde-

nem. Bywało też i tak, że czasem spotykali się wszyscy razem.

W jednym z listów Stefan Szuman pisze do swojej żony: „nie ma nic szlachetniejszego od prawdy – choć jej nie znamy”³. A Grażyna Czyżewiczowa (2021) w swej książce tak charakteryzuje ojca: „podstawową cechą charakteru mojego Ojca była rzetelność – rzetelność w postępowaniu z ludźmi, rzetelność i upór w pracy, rzetelność w poszukiwaniu prawdy”.

Zastanawiając się nad tym, co sprawiało, że Szuman przyciągał do siebie takich ludzi, jak Witkacy, Ingarden czy Schulz, dochodzę do wniosku, że oni wszyscy, choć w zupełnie różny sposób, poszukiwali prawdy i dla każdego z nich, pomimo całkowitej odmienności stylu życia, poglądów na świat i uprawianych zawodów, to poszukiwanie prawdy w pewnym sensie stanowiło treść życia. Stefan Szuman najwyraźniej szanował tę odmienną, ale też próbował ją zrozumieć. Nie chodziło mu o to, by przekonać adwersarzy do swoich racji, ile raczej o to, by sprowokować dyskusję odsłaniającą ich sposób myślenia i skonfrontować z tym własne poglądy właśnie po to, by samemu zbliżyć się do prawdy. Odmienną poglądów w wielu sprawach nie była więc przeszkodą, lecz przeciwnie, działała na nich jak magnes, dzięki któremu wciąż powracała potrzeba spotykania się i rozmawiania o „imponderabiliach”. W szczególności dotyczyło to Ingardena, z którym Szuman wielokrotnie się spotykał oraz listownie spierał w wielu kwestiach z pogranicza filozofii i psychologii. Ciekawe, że Witkacego Szuman postrzegał jako człowieka „prostolinijnego” z „bezkompromisowym charakterem, dla którego – bardziej niż wszystko inne – rzeczą nie do zniesienia stało się **Zakłamanie**” (Szuman, 1948).

Myślę też, że powyższe stwierdzenia można odnieść nie tylko do dwóch przyjaciół Stefana Szumana: Ingardena i Witkacego, z którymi Szuman miał bliski kontakt przez dłuższe okresy swego życia, ale także do Schulza. Nieznany wówczas pisarz po wysłuchaniu wykładów Szumana musiał uznać, że ma do czynienia z mądrym i ciekawym człowiekiem, skoro poprosił go o recenzję świeżo napisanej przez siebie książki. Szuman nie był przecież ani

krytykiem literackim, ani znanym literatem. A jednak Schulz zapragnął właśnie jego opinii w sprawie oceny wartości własnego pisarstwa i to jego obdarzył zaufaniem. Myślę, że musiał czuć, że uzyska od Szumana mądrą, i, co być może najważniejsze, całkowicie niezależną, a więc prawdziwą, opinię. Prawda była zatem najpewniej również dla Schulza nadrzędną wartością, dlatego jej poszukiwał.

6. SCHYLEK ŻYCIA SZUMANÓW – PRZEPROWADZKA DO WARSZAWY

Ponieważ „czas nie oszczędza nikogo”, jak napisał R.L. Stevenson w ulubionym przez mamę i przez nią tłumaczonym wierszu, również i naszym dziadkom coraz trudniej było panować nad otaczającą ich rzeczywistością. Dziadek pisze do swojej siostry Ireny prze zabawny liścik pokazujący, że mimo wszystko poczucie humoru go nie opuszcza: „Wzięły nad nami górę przedmioty martwe, grożąc, że nas zasypią i pod sobą pogrzebią. Jest ich w pokoju tak dużo, że gdy co rano siadam do pracy, oboje z Zosią zaczynamy poszukiwać tych książek czy prac, jakie właśnie mi są potrzebne, w kilku stosach rozmieszczonych po podłodze, jak hałdy. Na półkach brak już miejsca, pod fortepianem leży ich mnóstwo w wielkim nieporządku, tyleż w saloniku na biurku, pod biurkiem, obok biurka, przed biurkiem, z obu stron biurka, aż po drzwi wejściowe oraz na kanapie, na lodowce i obok niej... Jesteśmy zupełnie zagubieni! Ale nie, nie zagubieni, bo Zosia, z drugiego imienia Antonina, jest pod opieką św. Antoniego, który co chwila kieruje jej wzrok i wysuwa jej prawą rękę ku jakiemś beładnemu zbiorowisku książek, gdzie właśnie znajduje się poszukiwana, niegodziwie się przed nami ukrywająca książka...

Podobna komasacja i beład panuje w naszych głowach. Są one ciężarne od «twórczych myśli», które jednak bywają lekkie jak baloniki. Skoro tylko pomyślimy coś, to ów przedmiot zrywa nagle z nami kontakt, ulatnia się i wtedy już nawet zapomnieliśmy, jak on się nazywa – po prostu nie ma go”³.

Przed dziadkami jednak stoją dużo poważniejsze problemy. Babcia łamie nogę, a ponieważ noga się nie zrasta, zabieramy ją do nas do podwarszawskiego mieszkania w Aninie na rekonwalescencję. My, to jest: wnuki, włączamy się w opiekę nad babcią. Dziadek jest ciągle w Krakowie i oczywiście pomiędzy Krakowem i Aninem krążą niemal codziennie listy pokazujące, jak wciąż ważna jest dla niego praca. Dziadek pisze: „Ja muszę jeszcze siedzieć, aż skończę moje recenzje dla Rysi i Władka. A potem zaraz pędzę do Anina galopem. Wyobraź sobie, jaka to będzie uciecha, gdy przygalopuję i Ciebie uściskam” (fot. 9).

Dziadkowie bardzo do siebie tęsknią. Dziadek pisze: „Musisz wiedzieć, że ja wszystkie listy, jakie otrzymałem z Anina, przechowuję u siebie. Może Ty zatem mogłabyś przechowywać wszystkie listy, jakie otrzymujesz z Krakowa. Wasze i moje listy tworzą przecież dopiero wtedy całość korespondencyjną, kiedy można przeczytać jedno i drugie równocześnie. Wyobraź sobie, jak nasze wnuki, liczące około 60–70 lat będą chętnie odczytywały ten dokument rodzinny i nieco się z niego naśmiewały. Pomyślałem: jaka szkoda, że takich korespondencji nie przechowuje się dla drugiego i trzeciego, i możliwie dla jeszcze dalszych pokoleń. Nasza korespondencja jest może emfatyczna –

zwłaszcza moja – i nie zawiera «wszystkiego». Mimo to jest istotną prawdą naszej starej, dobrej miłości”³.

Książka mamy *Czas przechowany w starych kufrach* stanowi jednak namacalny dowód, że dziadkowie nie tylko sami przechowywali swoje listy, ale także poprzedzające ich pokolenia też. Być może, podeszły wiek nie pozwalał już im na odtworzenie faktu, że w ich własnym domu stały stare kufrы pełne korespondencji (która później została bezpiecznie ulokowana w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie oraz w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu, by służyć następnym pokoleniom).

Dziś, z perspektywy mijających lat i zmieniającego się świata, który jest już tak niepodobny do tego, w jakim żyli Zofia i Stefan Szumanowie, możemy tylko powiedzieć: jak to dobrze, że listy przetrwały i nasza mama znalazła czas i siły, by napisać o nich książkę, nie tylko dla kolejnych pokoleń naszej rodziny, ale także jako dokument czasów – najprawdziwszy, bo ujawniający głęboko i prawdziwie, czym żyli, co było dla nich najważniejsze we wszystkich jakże różnorodnych sferach ich aktywności osobistej, rodzinnej, zawodowej, ale także społecznej.

PRZYPISY

¹ Całość materiałów znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, Oddział rękopisów (sygnatury: Przyb. 62-119/97). Pośród nich są także listy Romana Ingardena do Stefana Szumana: Przyb. 78/97 oraz bruliony listów Szumana do Ingardena: Przyb. 84/97.

² Po wojnie G. Czyżewiczowa mieszkała wraz z mężem Zbigniewem i trójką dzieci (Stefanem, Anną i Grażyną) w Bielinach w niewielkim dworku (por. ilustracja z okładki książki *Czas przechowany w starych kufrach*).

³ Cytaty, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z listów i materiałów rodzinnych, których fragmenty zamieszczono w książce Grażyny Czyżewiczowej (2021) *Czas przechowany w starych kufrach*, Kraków: Libron.

⁴ Fotografie zamieszczone w artykule pochodzą ze zbiorów rodzinnych.

BIBLIOGRAFIA

- Czyżewiczowa G. (2021), *Czas przechowany w starych kufrach*. Kraków: Libron.
- List Stefana Szumana do Jerzego Ficowskiego z 25 stycznia 1968. Rękopis w zbiorach Ossolineum.
- Przetacznik-Gierowska M., Wyszyńska A. (red.) (1999), *Stefan Szuman (1889–1989). W stulecie urodzin*. Kraków, Uniwersytet Jagielloński.
- Sosnowski L. (2023), O przyjaźni: Ingarden – Witkacy – Szuman. *Psychologia Rozwojowaz*. 1, s. 21-32.
- Szuman S. (1948), Szewcy. *Listy z Teatru. Miesięcznik*, 23, 6–8.
- Szuman S. (2008). *Wybór pism estetycznych*. Kraków, Wydawnictwo: Universitas.
- Spuścizna Stefana Szumana, Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie, sygn. K-III-96, jednostka nr 105, maszynopisy Stefana Szumana: O dramatach Stanisława Ignacego Witkiewicza, mnps. 1(5), oraz: Stanisław Ignacy Witkiewicz, mnps, s. 1.

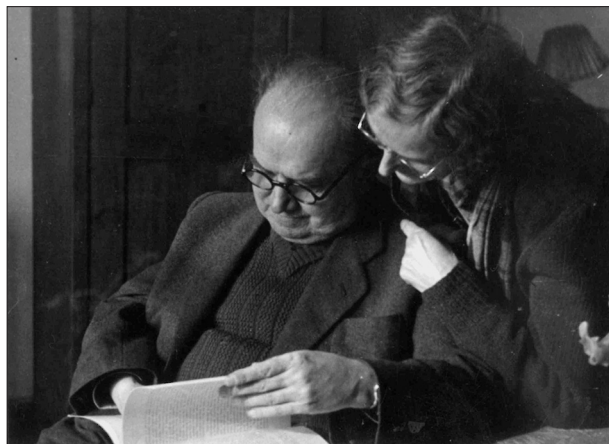
Fot. 1. S. Szuman – obserwacja i fotografowanie zabaw dziecięcych; koniec lat 20. XX w.; fotografia publikowana wcześniej w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.



Fot. 2. Małe „Szumanięta” – Grażynka i Krzyś; Poznań, 1928 r.; fotografia publikowana wcześniej w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.



Fot. 3. S. Szuman z żoną – wspólna praca; Kraków, lata 50. XX w.; fotografia publikowana wcześniej w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.



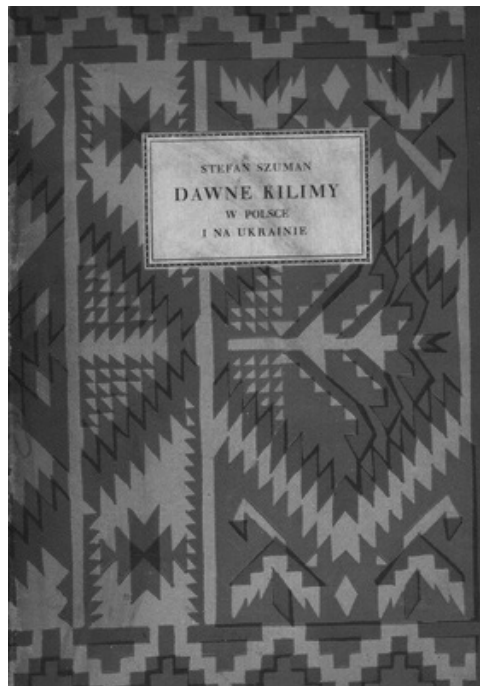


Fot. 4. „Łabędzie” – drzeworyt, ilustracja do bajki Andersena, wykonana przez S. Szumana; Poznań, 1923 r.; zdjęcie wykonane w 2021 r. przez G. Jackowską



Fot. 5. Zofia Szumanowa – rysunek S. Szumana; Anin pod Warszawą, 1969 r.; fotografia wykonana rodzinnie, publikowana wcześniej w książce M. Przetacznik-Gierowska, A. Wyszynska (red.), (1999), *Stefan Szuman (1889–1989). W stulecie urodzin*. Kraków, Uniwersytet Jagielloński, a następnie przedrukowana w książce: S. Szuman (2008). *Wybór pism estetycznych*. Kraków, Wydawnictwo: Universitas. Ponadto publikowana jako kopia z oryginału w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.

Fot. 6. Książka S. Szumana, *Dawne kilimy w Polsce i na Ukrainie* – okładka; wyd. Fischer i Majewski, 1928 r.; fotografia wykonana przez G. Jackowską w 2021 r.

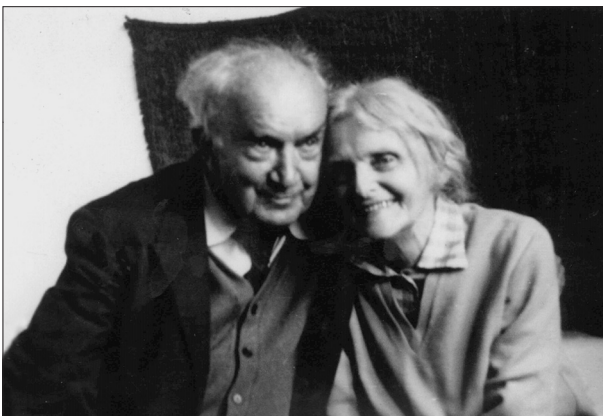


Fot. 7. S. Szuman – grać można wszędzie – Kościelisko, 1937 r.; fotografia publikowana wcześniej w książce: M. Przetacznik-Gierowska, A. Wyszynska (red.), (1999), *Stefan Szuman (1889–1989). W stulecie urodzin*. Kraków, Uniwersytet Jagielloński, a następnie przedrukowana w książce: S. Szuman (2008). *Wybór pism estetycznych*. Kraków: Wydawnictwo: Universitas. Ponadto publikowana jako kopia z oryginału w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.





Fot. 8. Witkacy – portret Zofii Szumanowej wykonany w Krakowie, ok. 1933 r.; fotografia wykonana przez G. Jackowską w 2021 r. i publikowana wcześniej w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.



Fot. 9. Zawsze razem – Stefan i Zofia Szumanowie; Anin, 1969 r.; fotografia wykonana rodzinnie i publikowana wcześniej w: G. Czyżewiczowa, *Czas przechowany w starych kufrach*, Libron 2021 r.